

Podzielony język

Sformułowana przez Bronisława Taraszkiewicza propozycja kodyfikacji języka białoruskiego, wyklęta we wczesnej fazie stalinizmu, przez lata funkcjonująca na obrzeżach języka, w wąskich kręgach na emigracji, po stu latach odzyskuje wpływy i pole – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Biało-RUS”.

Można by pomyśleć, że Bronisław Taraszkiewicz – polihistor i aktywista, jeden z „ojców narodu białoruskiego”, uwiedziony i zniszczony przez komunizm – zwyciężył po śmierci przynajmniej w jednym. Jego propozycja kodyfikacji języka białoruskiego, wyklęta we wczesnej fazie stalinizmu, przez lata funkcjonująca na obrzeżach języka, w wąskich kręgach na emigracji – po stu latach, wbrew rachunkowi sił, odzyskuje wpływy i pole.

Najpierw – kilka słów o samym Bronisławie Taraszkiewiczu, który nie miał szczególnego szczęścia nawet do biografów: najpełniejsze o nim opracowanie, pióra byłej działaczki KPZB, Aleksandry Bergman, wydane przez partyjną Książkę i Wiedzę w roku 1977 było w tamtym czasie sensacją. Dziś jednak „Rzecz o Bronisławie Taraszkiewiczu” wydaje się pisana nieznośnie ezopowym językiem, pełna przemilczeń, pozbawiona szerszej perspektywy.

A przecież jest to postać zasługująca na pióro Bohdana Cywińskiego, który na szczęście w swoich pracach nad narodzinami narodów Europy Środkowo-Wschodniej poświęcił Taraszkiewiczowi kilka akapitów.

„Ojciec narodu” – śmiesznie tak pisać o młodzieniaszku, który podejmując poważną aktywność polityczną, jako współzałożyciel Białoruskiej Socjalistycznej Gromady w roku 1917, miał 25 lat. W tym czasie zdążył już przejść etap zauroczenia „polskimi konspiracjami” w Wilnie, ukończyć studia filologiczne w Petersburgu, podczas których ostatecznie zadeklarował się jako Białorusin, i chwycić za pióro.

Dopiero jednak w 1917, kiedy historia ostatecznie przyspieszyła, rozpoczęła się jego błyskawiczna i tragiczna kariera: przez półtora roku wykłada jeszcze w Mińsku język białoruski i grekę, ale jednocześnie wchodzi w skład Białoruskiego Komitetu Narodowego, a jesienią 1920 roku, po „buncie Żeligowskiego”, wchodzi w skład Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej i jako przedstawiciel Białorusinów prowadzi rozmowy z Naczelnikiem Państwa w sprawie autonomii i szkół białoruskich.

Oświatą zajmować się będzie jeszcze przez chwilę – w 1921 roku pokieruje gimnazjum białoruskim w Wilnie. Ale już w rok później wybrany zostanie do Sejmu RP, gdzie stanie na czele Białoruskiego Klubu Poselskiego. Marzenie o najdalej idącej autonomii ziem białoruskich oraz radykalnej reformie rolnej doprowadzi go w trzy lata później do członkostwa w Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, a w chwilę potem – do utworzenia największej może w dziejach partii białoruskiej, „Włóściańsko-Robotniczej Hromady”.

Racji stanu RP i inspirowanych z Moskwy ambicji Bronisława nie sposób było pogodzić: po delegalizacji przez władze polskie „Hromady” czekały go trzy lata więzienia, w roku 1931 – kolejny wieloletni wyrok, tym razem już za nielegalny wjazd na terytorium RP w roli kuriera Międzynarodówki. W 1933 r. zdecydował się na wyjazd do ZSRS (ironia chciała, że został wymieniony na Franciszka Alachnowicza – innego białoruskiego literata i dramaturga, wcześniej rozczarowanego do II RP i szukającego szczęścia w ZSRS, który wracał właśnie do Polski po pięciu latach łagru na Sołowkach). Trafił do Kraju Rad w chwili ostatecznego stalinowskiego zwrotu w stronę „walki na nacjonalizmami” i po czterech upokarzających latach pracy filologa w Międzynarodowym Instytucie Rolnym w Moskwie, podczas których był zmarginalizowany, zastraszany i zmuszony do zeznawania przeciw dawnym współtowarzyszom, ostatecznie aresztowany został w apogeum Wielkiej Czystki, i rozstrzelany w półtora roku później w Mińsku, 29 listopada 1938 r.

W PRL nie był wygodnym patronem – ta śmierć w czystkach... Z drugiej strony: działacz KPZB i „Hromady”, przeciwnik sanacji! Ostatecznie doczekał się dwóch tablic pamiątkowych, ulicy oraz pośmiertnego patronatu nad liceum białoruskim w Bielsku Podlaskim. Tyle, że takie „ustawienie” Taraszkiewicza redukowało go i zawężało do postaci tuzinkowego aparaczyka – podczas, gdy był on humanistą wyjątkowego formatu, który z racji temperamentu trafił w żarna polityki.

Z rzeczy, które napisał, najwybitniejszy jest przekład na białoruski „Pana Tadeusza”, dokonany w niekomfortowych przecież celach Wronek, Rawicza i Grodna podczas odsiadki wyroku w II RP,

cudem ocalały mimo czystek i wojny, wydany w latach 70. Jako drugie dzieło przełożył na białoruski „Iliadę” – i już te dwa tytuły mówią coś o jego rozmachu i możliwościach. Ale, paradoksalnie, na dziejach Białorusi znacznie silniej zaważyła jego młodzieńcza, zgrzebna, napisana w kilka miesięcy praca - Biełaruskaja hramatyka dla škol”, wydana jesienią 1918 roku w dwóch wariantach, „łacińskim” i cyrylicim.

„Hramatyka” była jedną z czterech prób kodyfikacji białoruskiej ortografii i gramatyki podjętych jesienią 1918 r., w tym roku wielkich białoruskich nadziei (w tym samym czasie ukazała się “Hramatyka biełaruskaj mowy” Balasłaŭa Pačopki, „Biełaruski prawapis” Antona Łuckieviča i “Prosty sposab stacca u karotkim časie hramatnym” Jan Stankieviča). Ale to „Hramatyka” okazała się tak celna, zwięzła, napisana z takim potencjałem dydaktycznym, że zaczęła funkcjonować jako „propozycja kanonu” w kręgach autorów na Białorusi Sowieckiej, w wydawnictwach białoruskich funkcjonujących w II RP i na Litwie, ba, na emigracji w USA i w Kanadzie. W potocznym języku już wówczas zaczęto mówić o „taraszkiewicy”.

Było to jednak ciągle jeszcze rozwiązanie prowizoryczne. W latach 20., fortunnych dla wielu lat „korenizacji”, czyli polityki Moskwy podkreślającej poparcie dla kultur narodowych, w Mińsku rozkwitały, nieraz z potiomkinowskim rozmachem, liczne instytucje akademickie i wydawnicze, mające za zadanie promować, rozwijać i badać kulturę białoruską. Prace nad pełną, naukową kodyfikacją ortografii, gramatyki i reguł słowotwórstwa języka białoruskiego podjęto tam w połowie lat 20. – i w pełni wykorzystywały one założenia, poczynione przez Bronisława Taraszkiewicza. W 1927 powołano Komitet Językowy: w 1929, z początkiem odwrotu od „polityki białorutenizacji”, wstrzymano jego prace – ale siłą inercji ich podsumowanie ukazało się drukiem rok później. W tym samym czasie kolejna, lepiej sprawdzona

politycznie grupa uczonych z Białoruskiego Instytutu Lingwistyki podjęła kolejną próbę kodyfikacji i reformy ortografii. Odżegnywali się od poprzedników, ale cóż począć, rezultat ich pracy znów okazał się niepokojąco bliski taraszkiewicy...

Dłużej nie można było ryzykować gniewu Moskwy. 5 maja 1933 r. KC partii w Mińsku powołało Komitet Polityczny ds. Reformy Języka, w skład którego nie wszedł żaden filolog. W takim gronie obradować było łatwiej: już 21 lipca zdecydowano o zakończeniu prac nad reformą, a w miesiąc później nowe reguły językowe zostały zatwierdzone kolejną decyzją KC.

Tak narodziła się obowiązująca do dziś, mimo kilku modyfikacji z lat 50. i 60. XX w., oficjalna wersja ortografii i gramatyki języka białoruskiego, przez dysydentów z lat 80. przezwana (co się przyjęło) „narkomouką”: od „narkoma”, czyli komisarza ludowego. „Komisarska polszczyzna” mawiałoby się może, gdyby w tym samym czasie Moskwa nie zdecydowała się na krwawą likwidację Marchlewszczyzny i Dzierżyńszczyzny, czyli polskich „obwodów autonomicznych” w granicach związkowych republik Białorusi i Ukrainy, lecz na ich ostateczną sowietyzację.

Opis różnic między „taraszkewicą” a „narkomouką” rozsądziłby ramy tego artykułu; ciekawi znajdą go w gramatykach historycznych, a bodaj i w Wikipedii, która zresztą, co warto zauważyć, również istnieje w dwóch wyżej wspomnianych odmianach... Najogólniej: narkomouka upodabnia białoruski do rosyjskiego, ignoruje szereg „miękości” wymowy (w taraszkewicy dla ich oddania stworzono nawet specjalną zgłoskę, „miękkie ge”), z rosyjskiego została skopiowana metoda

tworzenia neologizmów czy przyswajania wyrazów obcojęzycznych. Z pewnością zaciera ona odmienności, ułatwia mentalną i językową rusyfikację.

Co mogli obrońcy taraszkiewicy przeciw dokonanej z babilońskim rozmachem reformie? Specjalny protest ogłosiło Białoruskie Towarzystwo Naukowe na zebraniu w Wilnie 31 października 1933, dotychczasowych reguł trzymały się niekomunistyczne wydawnictwa białoruskie w Polsce, na Litwie, w Niemczech i dalej na Zachodzie. Były to jednak niedobitki, których liczba stopniała dodatkowo po roku 1945. Przez lata taraszkewicą drukowano kilka parafialnych gazetek w New Jersey i Ontario, tomiki chudych emigranckich wierszy.

Tyle, że w latach 80. Taraszkiewica okazała się być wyborem dla wielu. W pierestrojowym roku 1988 najważniejszy odwilżowy tygodnik „Litaratura i mastactwa” („Literatura i sztuka”) opublikował apel młodych literatów, by przynajmniej w naukowych wydaniach XIX- i XX-wiecznej białoruskiej klasyki zaprzestać jej modernizowania do standardu „narkomouki”. Taraszkewicą zaczęli pisać kolejni autorzy, w tym Wiaczesław Adamik i tytan białoruskiej powieści, Wasyl Bykau. W początku lat 90., gdy wszystko wydawało się możliwe, po ten sposób zapisu sięgnęły nawet „narodowe i obywatelskie” dzienniki, od „Naszej Niwy” do „Pahoni”. Te musiały się wycofać ze swojego wyboru najszybciej: represjonowane, zamykane, wydawane półlegalnie lub w Wilnie nie chciały ryzykować kolejnego pola konfliktu. Liczba tytułów wydawanych taraszkewicą jednak z każdym rokiem rośnie, niekoniecznie ze względów politycznych: autorzy i tłumacze, choćby nieraz cytowany w tym kontekście Jan Maksymiuk, autor przekładu na białoruski „Ulissessa” Joyce’a, twierdzą, że zapis w tym wariacie języka jest bardziej elastyczny, pozwala na więcej, lepiej oddaje treść. Jest w

tym niezła metafora – ale i konkret językowy, wydawniczy i polityczny: taraszkewicą wydaje się Andruchowycza i Vonneguta, Pismo Święte i Tolkiena.

Triumf? Tak. Ale i świadectwo jeszcze jednego poziomu bolesnego rozdwojenia Białorusi.